

Mój Napoleon



O jego istnieniu dowiedziałem się dość wcześnie, bo mój ambitny Tata zaczął mnie na serio zapoznawać z ojczyzną historią i kulturą, gdy tylko uznał, że już jestem rozumnym stworzeniem, czyli kiedy skończyłem 4 lata.

Sprawdził to w prosty sposób, do wcześniej wyuczonego kanonu codziennej modlitwy – *Ojcze nasz*, *Zdrowaś Mario* i *Aniele Boży stróżu mój* dodając zdaje się własny, acz oparty na tradycji tekst: „*Maryjo, Królowo Korony Polskiej, módl się za Ojczyznę moją.*”

No i pojawiła się, rzecz jasna, konieczność wytłumaczenia, jakim to sposobem Matka Boska z odległej Ziemi Świętej stała się polską Królową, więc o ślubach Jana Kazimierza – łatwych dla mnie do zapamiętania, bo miały miejsce w dzień moich urodzin 1 kwietnia, no a jak Jan Kazimierz, to i „*Potop*”, no ale wcześniej wszak „*Ogniem i mieczem*”, więc tak się rozpoczęło czytanie mi na głos przez Ojca całej „*Trylogii*”.

Ale najpierw była, oczywiście, nauka Hymnu, wszystkich czterech zwrotek, więc i pytań z mojej strony było sporo, bo to i tarabany, i gdzie i po co rzucił się przez morze Czarniecki, też łatwo zapamiętany, bo tak się nazywał właściciel drewnianej rudery na Dzikich Polach między ul. Waszyngtona a Aleją Stanów Zjednoczonych, gdzie moi młodociani Rodziciele wynajmowali komórkę na strychu – mój pierwszy dom rodzinny!

No i ten, co dał nam przykład – Bonaparte! Już samo nazwisko mi się spodobało dzięki objaśnieniom Ojca, że to *dobra część* Francji, nie od Komuny Paryskiej (omówienie jej na razie sobie darował, a mnie wystarczyła odstręczająca nazwa) i od zdrady sojusznika w 1939 (tak, tak, wtedy o II Wojnie sporo wiedziały nawet dzieci!), a ta od świętej Joanny d’Arc (przy okazji dowiedziałem się i o niej) i Generała de Gaulle, wieści o którego porządkowaniu podgniętej demokracji parlamentarnej mój Rodziciel codziennie z entuzjazmem wysłuchiwał wieczorem przez radio, więc i mnie nie był on całkiem obcy. A 10 lat później zobaczyłem go żywego!

Na razie musiała mi wystarczyć informacja, że ów Napoleon Bonaparte był Cesarzem Francuzów, ale wiele dobrego zrobił i dla Polaków – to, że wspólnie z nami tłukł powszechnie w peerelu znienawidzonych Ruskich było dla chłopca najlepszą rekomendacją! Gdy się skończyła lektura „*Trylogii*”, a ja już jako sześciolatek po roku upiornych doświadczeń przedszkola z tranem i leżakowaniem na czele ubłagałem Rodziców o wcześniejsze posłanie do szkoły, Tata uzupełnił moje lektury podstawowe o

„*Pana Tadeusza*”, skąd jakoś naturalnie wchłonałem miłość do *Napoleona*, co tylko pogłębiały samemu już później czytane książki, zwłaszcza ukochana też trylogia, ale napoleońska, Wacława Gąsiorowskiego - „*Huragan*”, „*Rok 1809*” i „*Szwolężerowie gwardii*”!



Owszem, tego oszczercę Żeromskiego też znam, ale na zasadzie plebejskiego kawału: *Panie Heniu, a umiesz pan po francusku?* - *Umiem, ale się brzydzę!* - ignoruję jego śledziennicze złorzeczenia pod adresem Cesarza.

Jeszcze mieszkając na owym poddaszu przy nieistniejącej już, bo zabudowanej za Gomuły blokami Osiedla Kinowa ulicy różnych krzywych murowanych i drewnianych budowli nazwanej w 1939 r. Attykową (fantazyja nazewnicza urzędasów zawsze mnie urzekała!)

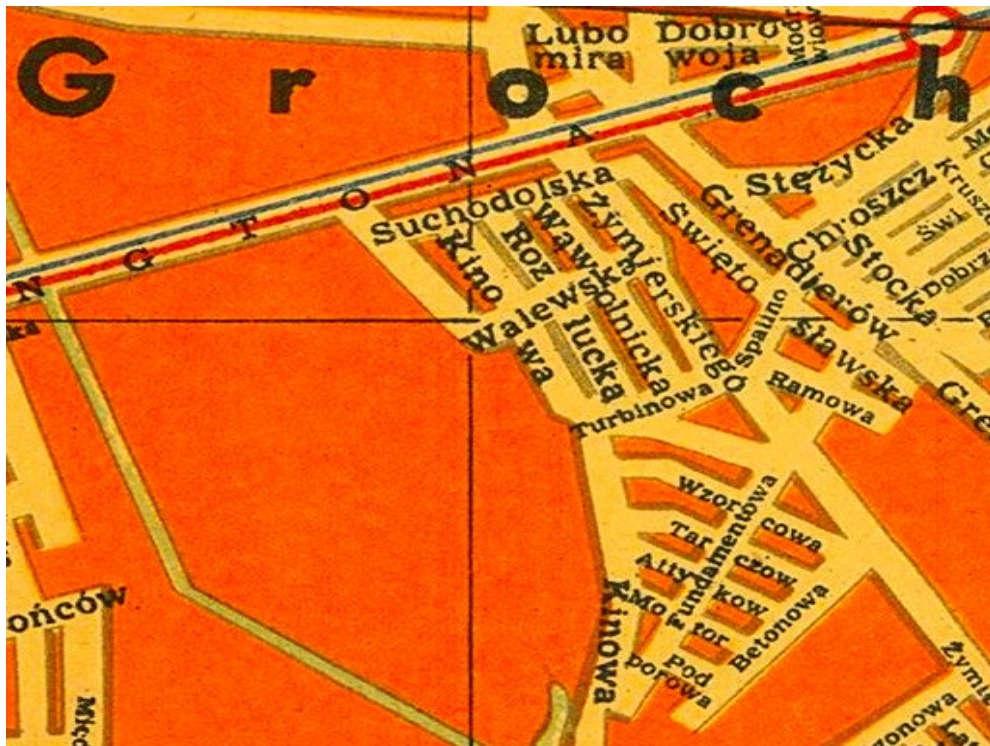


otrzymałem fantastyczny dar podsycający fascynację Napoleonem i to pochodzący z dzikiej zagranicy, czyli jego ojczyzny, o której przeciętny obywatel PRL miał jakieś pojęcie tylko z lektury „*Trzech muszkieterów*”, czy po 1956 r. z nudnych kryminałów Simenona, wiedząc doskonale, że o poznaniu żywej współczesnej Francji może sobie tylko pomarzyć.

A tu serdeczny przyjaciel Taty jeszcze z KUL-u, piekielnie zdolny Piotruś Kuncewicz, który później zaprzedał się komunie i pewnie Komuś jeszcze gorszemu, bo umarł jako pisujący do „Trybuny” Wielki Mistrz polskich masonów, bodaj najbardziej ze wszystkich zlewaczonych i antychrześcijańskich, nagle wyjeżdża do Francji, wysłany przez Uniwersytet Warszawski jako lektor języka polskiego do Strasburga!

Przesyłał memu Ojcu – naiwnemu wielbicielowi wielkości Francji – pocztówki z wypraw do Paryża, a ponieważ był zapominalski, ciekawie były adresowane:

„Do Pana Listonosza – na tej uliczce na lewo od Kinowej trzeci dom drewniany za tym murowanym z dużym szambem”.



I zawsze dochodziły!



Gdy Piotruś powrócił do kraju, moi Rodzice właśnie świętowali wprowadzenie się do prawdziwego w ł a s n e g o mieszkania, czyli dwupokojowej dziupli o powierzchni 37 m. kwadratowych na Ochocie, przyznanej przez łaskawą władzuchną mojej Mamie jako wybitnemu nauczycielowi, więc oczywiście pojawił się tam z opowieściami o Wielkim Świecie, a mnie podarował przywiezione znaną z Sekwany ... figurki Napoleona i kilku jego marszałków!



Z miejsca odstąpiłem Cesarzowi dowództwo nad całkiem już liczną i różnorodną armią, którą miałem wtedy pod swą komendą. Po Ojcu i jego wuju odziedziczyłem bowiem kilkudziesięciu tzw. ołowianych, a w istocie cynowych przedwojennych żołnierzyków,

część najwyraźniej z szabru, bo w pickelhaubach i kilka dział oraz tanków, kolorowych, ale równie jak żołnierze płaskich i niestety także wielce łamliwych, tak że w większych bitwach musiałem się posiłkować także weteranami bez ręki czy nogi i czołgami bez lufy.



Za Gomuły pojawiły się nowe żołnierzyki, a właściwie takie same, bo wytwarzane przez prywaciarzy na przedwojennych sztancach – ci łamali się jeszcze szybciej... Gdy Gnom wpadł na pomysł skontrolowania kościelnych uroczystości 1000-lecia Chrztu Polski urzędowymi obchodami „Tysiąclecia Państwa Polskiego” i inicjatywami typu tysiąc szkół na tysiąclecie, nastały też złote czasy dla takich jak ja zbieraczy żołnierzyków – nagle pojawili się zakuci w zbroje rycerze z mieczem w prawicy i tarczą z białym orłem na jaskrawo czerwonym tle, potem „czwartacy” z czasów Powstania Listopadowego, a nawet ułani i strzelcy konni zdejmowani z siodeł! Wybór wzorców był od Sasa do Lasa, może częściowo uwarunkowany tym, jakie rodzaje Wojska Polskiego wzięły udział w apogeum uroczystości państwowych – sławetnej Defiladzie Tysiąclecia 22 lipca 1966 r., którą oglądałem z zachwytem na własne oczy.



Była ona naprawdę imponująca, bo przed uśmiechniętymi dobrotliwie patriotami z Politbiura na trybunie i dziesiątkami tysięcy zwykłych warszawiaków przededefilowali wojowie Mieszka, kosynierzy Kościuszki, wspomnieni „czwartacy” i szwoleżerowie, ich własni komuszy „kościuszkowcy” spod Lenino, a nawet husaria, miękkim kłusem przechodząca w pokaz współczesnej siły mocarstwa znad Wisły – czołgi T-55, opancerzone amfibie i wielkie rakiety z dykty na podwoziach gąsiennicowych.

Husarze pojawili się w sklepach z zabawkami dopiero za Gierka, bo wymagali ze swymi skrzydłami i kopiami z proporczykami już wyższego rozwoju technologicznego, ale ja miałem dodatkowe zasilanie z zagranicy, w osobie ciotki mojego Ojca z Kanady. Mieć „ciotkę w Ameryce” za czasów komuny to było więcej niż wygrana na loterii!

Wobec siermiężnej za Gomuły oferty zabawek dla dzieci ja ze swoimi amerykańskimi coltami na kapiszony noszonych w kaburach prawdziwego kowbojskiego pasa ze skóry, z pistoletem kosmicznym miotającym z lufy iskry, czy jeżdżącym z wyciem na baterii wozem strażackim - byłem nader pożądanym kumplem dla każdego chłopaka z podwórka.

Dla mnie ważniejsze jednak było, że złotoserca Ciocia Basia na moje prośby systematycznie wzmacniała stan moich sił zbrojnych! Początkowo żołnierze też byli cynowi, w purpurowych brytyjskich mundurach i czarnych bermycach lub białych kolonialnych kaskach korkowych, ale choć ze względu na materiał też skłonni byli do inwalidztwa, wszelako jednym bezdyskusyjnie bili na głowę mych „płaszczaków” – byli trójwymiarowi!



W latach 60 dotarła do mnie od Cioci nowa generacja żołnierzyków, tym razem w barwach US Army – z niezniszczalnego plastiku. Nie ulegali złamaniu ani nawet podpaleniu, mogli się co najwyżej zgubić podczas zabawy na dworze, a wtedy zawsze po mnie odnosili je do domu koledzy z podwórka – dzieci zawodowych złodziei z dziada pradziada.

Więc mój nowo przybyły Cesarz miał już kim dowodzić, a ja jako młodzian dożyłem czasów, gdy poza dość zjadliwą jego biografią pióra zdolnego sowieckiego historyka i pisarza o francuskim nazwisku Tarlé, pojawiły się książki innego, znacznie bardziej ode mnie znanego bonapartysty – Łysiaka.



Czytałem oczywiście wszystko o Napoleonie, nawet gdy tylko pośrednio go dotyczyło, jak w oszałamiającej międzynarodową super-intrygą mającą na celu uwolnienie go z Wyspy św. Heleny powieści „Synowie markizy de Belcamp” Paula Fevala, noszącej w oryginale o wiele fajniejszy tytuł – „*Jean Diable*”! Zachwycając się mistrzowską szermierką Jeana Marais w „*Garbusie*” – słynnej ekranizacji innej jego powieści płaszcza i szpady, zawsze żałowałem, że nie sfilmowano tej pierwszej.

Napoleon miał zresztą zmienne szczęście do swego wizerunku kinowego: zaczęło się wysokim „C” w czasach filmu niemego, a kończy jak na razie ponurą katastrofą autorstwa Ridleya Scotta, który wszak błyskotliwie zadebiutował właśnie motywem napoleońskim!



Tyle, że wtedy miał za głównego scenarzystę samego Josepha Conrada („*Pojedynek*”, a właściwie w oryginale zgodnie z treścią – „*Pojedynekowicze*”!), a nie jakichś lewaków i własną skrzywioną wyobraźnię, którą wcześniej zaprezentował w filmach o Achajach pod Troją i Krzyżowcach. Po co robić filmy o ludziach, których się nie rozumie i nienawidzi?

Natomiast „*Napoleon*” Francuza Abła Gance’a z 1927 r. to skończone arcydzieło dzięki reżyserskiej błyskotliwości ale i – mimo oddania swemu bohaterowi - solidności historycznej, już nie mówiąc o magnetycznej kreacji tytułowej Alberta Dieudonné, ale dziś pewnie nie do oglądania przez współczesnych pseudo-widzów: niemy film trwający 330 minut, czyli 5 i pół godziny!



Kto się jednak na ten wysiłek zdobędzie, zyska rzadką lub zgoła w dzisiejszym kinie nieobecną satysfakcję – obcowanie z dziełem skończone doskonałym, poza niesamowitym wyczuciem obrazu perfekcyjnym w korzystaniu ze wszelkich dostępnych chwytów filmowych, jak – już wtedy! - ekran panoramiczny, niekiedy dzielący się na trzy równoległe biegnące akcje! Oczywiście każda sekwencja wirażowana w odpowiednią do nastroju barwę, no i specjalnie napisana monumentalna muzyka!

Potem było już gorzej. Napoleon najczęściej pojawiał się gdzieś w tle głównej akcji filmu, czasem - zapewne mimowolnie - przedstawiony wręcz karykaturalnie, jak w amerykańskim mamucie „*Wojna i pokój*”. Dziś wartym obejrzenia jedynie dla uroczej Nataszy - Audrey Hepburn, uwodzącej skuteczniej widza niż ponurego Biezuchowa - Henry Fonde, który najwyraźniej cały

czas zastanawiał się, co robi w tym filmie, czy drętwe go jak kołek Bołkońskiego - Mela Ferrera; może dlatego, że i w oryginale tej nudnej kobyły jest ona jedyną żywą osobą.



Cesarza Francuzów odtwarza tam czeskiego pochodzenia aktor brytyjski pan Kuchacevič alias Herbert Lom, starający się okropność charakteru barbarzyńcy, który stoczył się aż do tego, że „spalił Moskwę”, wyrazić poprzez dzikie miny, które świetnie się sprawdziły, ale dopiero w jego kreacji inspektora Dreyfussa, niefortunnego zwierzchnika inspektora Clouseau od Różowej Pantery...

W tym samym mniej więcej czasie, pod koniec lat 50, w rolę Napoleona wcielił się sam Marlon Brando, wówczas w najlepszej formie i zrobił to znakomicie! Tylko że, niestety, film „*Desirée*” był do kitu, przelatując wprawdzie przez wszystkie kluczowe momenty biografii Cesarza, ale głównie od strony alkowy i afektu tytułowej bohaterki.

A szkoda, bo Brando naprawdę świetnie się wczuł w rolę, a i profil i *face* miał nadzwyczajnie napoleońskie!



To ja już wolę zabawną „*Madame Sans-Genie*” z Sofią Loren jako praczką opierającą (stąd niezrozumiały dla współczesnych bałwanów – „*wikt i opierunek*”, a nie od jakowegoś „oparcia”!) także młodego oficera Bonaparte, żoną sierżanta François Josepha Lefebvre’a, przyszłego cesarskiego marszałka i Księcia Gdańska, gdzie sympatycznie przedstawiony Napoleon pojawia się nieco w tle w wykonaniu Julien Bertheau, znanego raczej z francuskich filmów Buñuela, zwłaszcza z roli rubasznego biskupa w „*Dyskretnym uroku burżuazji*”.

O polskim „*Więźniu Europy*” Kawalerowicza dobrotliwie nie wspomnę w ogóle, choć Napoleon jest tam na ekranie od pierwszej do ostatniej minuty, czyli śmierci na zesłaniu. Rozumiem ambicję reżysera, by być oryginalnym, ale gdy wyraża się ona jedynie zaangażowaniem do głównej roli aktora francuskiego, który niczym Napoleona nie przypomina, a sam nie tryska artystyczną charyzmą, to już jednak przesada.

A przecież był w polskiej kinematografii świetny precedens! W obejrzanej przeze mnie bez zachwyty, bo i literackiego pierwowzoru oczerniającego Cesarza nie cierpiałem i po dziś dzień nie znoszę, wajdowskiej adaptacji „*Popiołów*” jest znakomita, jedna z najlepszych na świecie kreacja Napoleona jako złowrogiego i obojętnego na wszystko poza sławą boga wojny, stworzona przez Janusza Zakrzeńskiego bez jednego słowa (!).



W tym dziwacznym i chaotycznym dziele niewiele więcej walorów znalazłem, poza znakomitą sceną z Księciem Józefem prowadzącym kontratak na bagnety pod Raszynem, jeśli zaś idzie o wymowę filmu, to w zupełności podzielam zdanie najbliższego krytyka z czasów peerelu, ekscentrycznego Zygmunta Kałużyńskiego, który celnie dopatrywał się jeszcze jednej warstwy:



„Rok 1965 był momentem, kiedy za kulisami polityki partyjnej formować się poczęła coraz wyraźniej grupa tak zwanych „partyzantów”, nacjonalistyczna frakcja, która w trzy lata później starła się sięgnąć po władzę w trakcie „wydarzeń marcowych”. „Partyzanci”, grając na nutach narodowych, obrali sobie wtedy „Popioły” Wajdy za wyraźny cel ataków. Paradoksalnie, w tym konkretnym wypadku „partyzanci” mieli rację. Jeśli wymową tego filmu miało być – że przypomnę handlowy katalog – „uświadomienie sobie złudy nadziei na

odzyskanie niepodległości”, to filmowe „Popioły” wówczas, w roku 1965, były pomyłką. Polacy za swoją przygodę z Napoleonem zapłacili wysoką cenę, ale nie była to cena zapłacona za nic.” [podkreślenia moje]

A to nam właśnie usiłował wcisnąć jeszcze bardziej namiętnie niż Żeromski Wajda, z lubością wyrzucający bojowników o wolną Polskę już to na „śmietnik historii”, już to na ślepe błędzenie po rosyjskich stepach zasłanych całunem śmiercionośnym śniegów...



Gdy więc tytan sowieckiego kina, świetny aktor i reżyser Siergiej Bondarczuk podjął się konkurencyjnej wobec wspomnianej wersji amerykańskiej ekranizacji „*Wojny i pokoju*”, miałem jakieś nadzieje, bo to wszak i Austerlitz, i Borodino, więc jakże bez Cesarza? A jednak prawie się bez niego obeszło! Odtwarzający go dobry aktor Władysław Strzeliński, jak samo nazwisko wskazuje polskiego pochodzenia – pojawił się w trakcie trwających w całości 8 godzin 4 pełnometrażowych części, zaledwie w ciągu 15 minut! Nie miałem więc większych nadziei, gdy słynny włoski producent Dino De Laurentiis ogłosił, że właśnie Bondarczuk wyreżyseruje jego superprodukcję „*Waterloo*”.

Dodatkowo zniechęciły mnie zamieszczane w polskich czasopiśmie filmowych wieści o tym, że grający główną rolę amerykański gwiazdor Rod Steiger, kolega Brando i jak on wyznawca sławetnej „*Metody Stanisławskiego*”, chce Cesarza przedstawić od „zupełnie innej strony”, jako zwykłego (!) człowieka itp. bzdury, a jeszcze jego fotka z planu – w okularach i w ogóle do Napoleona niepodobny – wyjdzie z tego gównem!

No więc muszę po staropolsku, ściśle biorąc – po szlachecku – wleźć pod ławę i odszczerkać: Hau, hau, zełgałem jak pies!



„*Waterloo*” okazało się bowiem nie tylko znakomite od strony nader wiarygodnej batalistyki, ale i stało się aktorskim triumfem Roda Steigera, jego najlepszą w życiu rolę! I naprawdę tak mu się udało „ucłowieczyć” Napoleona, że gdy dziś myślę o klęsce i upadku Cesarza, widzę zmęczoną twarz i puste oczy Steigera.



Potężny talent reżysera został uwolniony od więzów tołstojowsko-sowieckiej pseudohistoriografii dzięki znakomitemu scenariuszowi pióra Vittorio Bonicellego, który współtworzył także filmowe biografie Mojżesza, Celliniego a nawet Dzieciątka Jezus, ale miał też na koncie adaptacje „*Eneidy*” czy „*Przygód Księdza Browna*”, a niegdyś przyłożył się i do sławetnej „*Barbarelli*”!

Musiał po prostu lubić swych bohaterów, a tu z pewnością dostał też świetnych konsultantów od spraw militarnych, bo w odróżnieniu od lepszej lub gorszej, ale zawsze chaotycznej batalistyki czy raczej bijatyki z innych filmów o Napoleonie, bitwa pod Waterloo została na ekranie pokazana wyjątkowo zgodnie z prawdą historyczną, a w dodatku tak klarownie, że nie pogubi się w jej przebiegu nawet widz nie mający pojęcia o sposobach prowadzenia wojen w XIX wieku.



A jeszcze tyle innych smaków czy smaczków – gdy polscy szwoleżerowie Gwardii ze słynnego Szwadronu Elby rozszarpują na strzępy i skłuwają lancami rzekomo „najlepszą kawalerię świata” czyli elitarną brytyjską 2 Brygadę „Union” generała Williama Ponsonby, na sali kina warszawskiego kina „Relax” z ogromnym ekranem do projekcji mamutów kręconych na taśmie 70 mm wybuchł taki entuzjizm, że gdyby nie peerelowskie niedostatki wykształcenia parę setek widzów ryknęłoby jednym głosem:

Vive l'Empereur!



Atak Brytyjczyków został przez Bondarczuka pokazany mistrzowsko, najpierw pędzą butnie pewni zwycięstwa, ale gdy Napoleon wysłał przeciw nim polskich lansjerów, reżyser pokazuje naraz galop ciężkiej brygady w zwolnionym tempie, jakby już martwych, bo choć oni jeszcze tego nie wiedzą w odróżnieniu od ostrzeżonego tym chwytem widzów - czeka ich Zagłada o twarzy szwoleżera...





No a muzyka, którą stworzył genialny Nino Rota! Oczywiście inna niż ta współtworząca wszystkie najlepsze filmy Felliniego, ale i jakieś zaoceaniczne „*Ojcie chrzestne*”, ale kto jak ja pobuszował po internecie, natknął się na jego nie związaną z ekranem twórczością – i musiał stwierdzić jej samoistną wielkość.

Ale i inne role - same perełki! Inteligentny i cwany Wellington w wykonaniu Kanadyjczyka Christophera Plummera, Irlandczyk Dan O’Herlihy jako porywczy marszałek Ney, no i wspaniały w epizodzie sam Orson Welles, w parę minut stwarzający kreację – marudnego, cynicznego i sceptycznego Ludwika XVIII, wyśmiewającego paryskich pismaków zmieniających ton swych artykułów w miarę postępów Napoleona



od „*Potwór wylądował we Francji!*”



przez już ostrożniejsze „*Uzurpator zdążyła ku stolicy...*”



...po entuzjastyczne „*Paryż wita swego Cesarza!*”.

No i już tylko dla super znawców kinematografii – w roli Nemezis Napoleona pod Waterloo, czyli pruskiego marszałka von Blüchera, który przeważył szalę bitwy na stronę Anglików – legenda kina gruzińskiego Sergo Zachariadze!

A na marginesie ważna dla mnie kwestia – wszystko robiono w ówczesnych filmach „naprawdę”, to nie generowane elektronicznie chmary orków w mastodoncie Jacksona czy sztuczne elektroniczne gadżeciarstwo współczesnych pseudo-Bondów, tam naprawdę przewalały się po polu boju tysiące ludzi i koni dowodzone przez reżysera, jego generałów, pułkowników i poruczników, a chociaż to nie sam Connery wieszał się wzlatującego helikoptera, to wszak za niego dokonywał tego prawdziwy człowiek, odważny kaskader i – to się czuje, to dawało ten dziś już nieznany widowni *thrill* czyli dreszcz! Jak mi się podoba wywiedziony stąd polski *dreszczowiec*!

Gdy idzie o „czarną legendę” Napoleona, to odnoszę się do niej identycznie, jak Chesterton do „sprawy polskiej” z jego przedmowy do zapomnianej a genialnej książki wybitnego belgijskiego uczonego prof. Sarolea *„Listy o Polsce”* z 1922 r.:

„Jeśli dorzucam tu od siebie kilka słów, pobieżnych i niegodnych tak poważnego tematu, to jedynie w tym przeświadczeniu, że powinniśmy korzystać z każdej sposobności, by zaznaczyć swe stanowisko w spornej, a tak żywotnej sprawie przyszłości polskiego narodu. Jakkolwiek daleki jestem od głębokiej znajomości rzeczy, jaką wykazuje autor tej książki, a którą niewielu historyków może się poszczycić, to jednak czuję się uprawnionym do zabrania głosu, a to z tej przyczyny, że zawsze byłem stronnikiem polskiej idei, nawet wtedy, kiedy moje sympatie opierały się wyłącznie na instynkcie.

Mój instynkt nie wynikał z uprzedzenia ani z „sentymentu”. Nie był również skażony stronnictwem, choćby dlatego, że prawie wcale nie czerpałem informacji z polskich źródeł. Nie wyrobił się wreszcie pod wpływem przesadnych pochwał, gdyż, jak to prof.

Sarolea wykazał, pochlebne sądy o Polsce są niezwykle rzadkością w naszym kraju. Wprost odwrotnie. Moja instynktowna sympatia do Polski zrodziła się pod wpływem ciągłych oskarżeń, miotanych przeciwko niej; — i rzec mogę, — wyrobiłem sobie sąd o Polsce na podstawie jej nieprzyjaciół.



Doszedłem mianowicie do niezawodnego wniosku, że nieprzyjaciele Polski są prawie zawsze nieprzyjaciółmi wielkoduszności i męstwa. Ilekroć zdarzyło mi się spotkać osobnika o niewolniczej duszy, uprawiającego lichwę i kult terroru, grzęznącego przy tym w bagnie materialistycznej polityki, tylekroć odkrywałem w tym osobniku, obok powyższych właściwości, namiętną nienawiść do Polski. Nauczyłem się oceniać ją na podstawie tych nienawistnych sądów i metoda okazała się niezawodną.”

Cesarza, który odtworzył rozszarpane przez wrogów państwo polskie, dał mu konstytucję i nadzieję na odbicie pozostałych zagrabionych przez Rosję ziem oskarżając te same karły duchowe, co z ambon miękkich kanap w salonach potępiają „bezsensowne polskie powstania”. Nie bez powodu zrobiony w II RP film o legionistach Piłsudskiego nosił tytuł „Szaleńcy”...

Kiedy wojska Wielkiej Armii pod wodzą Cesarza gnając armią pruską wkroczyły na ziemię dawnego Królestwa Polskiego, to kampania lat 1806/1807 została uznana za jedną z najcięższych w całej historii wojen napoleońskich, zwłaszcza gdy Prusaków wsparli Rosjanie. Nie bez powodu na Łuku Triumfalnym w Paryżu wśród znamienitych bitew figuruje mój Pułtusk, gdzie Jean Lannes, ulubiony marszałek Cesarza, stłukł okrutnie Rosjan, a sam Napoleon spędził tu Sylwestra i witał Nowy Rok 1807!



Warto też pamiętać, że by mogło powstać tak pogardzane przez „realistów” Księstwo Warszawskie, w tej nader krwawej kampanii zginęło na naszej ziemi 25 tysięcy chłopców znad Sekwany i Loary...

O ile zrozumiała jest nienawiść do Napoleona Anglików, którzy przedstawiali go w karykaturach nie tylko jako karła – a nawiasem mówiąc przy swych 168 cm wzrostu mógł za takiego uchodzić tylko w porównaniu z żołnierzami swej Gwardii – ale wręcz Antychrysta piastowanego i popychanego do zbrodni przez Szatana, to stosunek doń w jego własnej ojczyźnie dziwi i smuci.



Nie dotyczy to zwykłych Francuzów, którzy indagowani z okazji rocznicy jego śmierci w licznych sondażach postawili go na czele listy najważniejszych postaci w historii ich kraju - Cesarz wyprzedza tu generała de Gaulle'a i Ludwika XIV! Dziennik „*Le Parisien*” podkreślał, że wiele osób zdaje sobie sprawę z mrocznych stron charakteru i działalności Napoleona Bonaparte, ale mimo tego wciąż są zdania, że nikt tak mocno nie zapisał się na kartach dziejów Francji jak on i według nich jest najbardziej znanym na świecie Francuzem.

Gdy idzie o władze Republiki jest gorzej. Ostatnim prezydentem Francji, który oficjalnie uczcił Napoleona, był Georges Pompidou w 1969 roku na dwóchsetlecie jego urodzin. Od tego czasu przywódcy kraju stronili od zajmowania jednoznacznego stanowiska. Pajace z Pałacu Elizejskiego, kieszonkowe napoleonki, „*wątle mięśnie natężają, pierś cherlawą wyprężają*”, pomiatając Polską na zlecenie to Kremla, to Berlina, a gdy ostatniego z nich zastała 200 rocznica śmierci Napoleona Wielkiego, wije się on jak wąż, by podczas niemal tajnych obchodów nie narazić się dogmatom polit-poprawności.



Prezydent Macron wziął wprawdzie udział w obchodach 5 maja 2021 i tak już nader ograniczonych pod pretekstem „pandemii”, ale zaznaczył, że „*upamiętni, ale nie odda hołdu*” Cesarzowi Francuzów, ponieważ jego zdaniem „*jest to postać kontrowersyjna*”.

No pewnie, wszak to osoba z jego rządu, „ministra” ds. równości kobiet i mężczyzn Elisabeth Moreno nazwała niedawno Napoleona „*wielkim mizoginem*” (!).

I nic dziwnego, że bał się wychylić, bo tamtejsze lewactwo podniosło wściekły wrzask sprzeciwiając się organizowaniu jakichkolwiek obchodów, a i przedstawiciele „mocarstwa moralnego” mieli coś do powiedzenia: niemiecki publicysta Jan Fleischhauer śmiał napisać w tygodniku „*Der Spiegel*”, że Napoleon „*był twórcą nacjonalizmu, który prześladował później Europę i przyniósł jej wiele złego*”! Francuskie zaś tałatajstwo uważa, że był rasistą, seksistą, despotą i kolonizatorem, gdyż już jako Pierwszy Konsul przywrócił w 1802 roku niewolnictwo w koloniach zniesione przez Rewolucję osiem lat wcześniej.

Historyk, specjalista od epoki napoleońskiej, 87 letni Jean Tulard, ubolewał nad zalewem histerycznych nastrojów:

„Trzeba patrzeć na postać Cesarza w kontekście jego epoki. Niewolnictwo, zjawisko oczywiście wzbudzające wstręt, było wtedy czymś powszechnym. Napoleon na pewno nie był świętym, ale sposób interpretacji jego postaci i jego działań jest wysoce niesprawiedliwy. Część historyków uważa, że motywacją do tego była chęć zdominowania ważnego wówczas handlu cukrem na Karaibach, o który to Francja walczyła z Anglią.”

Pierre Branda, historyk z Fundacji Napoleona w rozmowie z agencją Reutera stwierdził:

„Nie był ani zwolennikiem niewolnictwa, ani rasistą, ale pragmatykiem, który reagował na społeczne i gospodarcze okoliczności tamtej epoki. Nie możemy sprowadzić historii Napoleona do niewolnictwa. Podjął złą decyzję, której później żałował.”

Cóż, podobnie jak bliższa nam niepiękna historia z San Domingo, bez wątpienia należy to do ciemniejszych kart w jego dorobku, jednak nie może przeważać cywilizacyjnego znaczenia dla świata wprowadzonego przezeń w całej Europie Kodeksu Napoleona.

Macron wygłosił w końcu całkiem przyzwoite przemówienie, określając Cesarza jako wielkiego wojownika, prawodawcę, twórcę podwalin nowoczesnego państwa, edukacji i nauki, promotora równości kobiet i mężczyzn, którego wizerunek został nadszarpnięty przez decyzję o przywróceniu niewolnictwa, po czym wraz z małżonką w obecności potomków Napoleona złożyli kwiaty przy grobowcu Napoleona w Pałacu Inwalidów, gdzie żołnierze odśpiewali „Marsylianę”.



W Polsce mimo tychże pandemicznych rygorów też o Cesarzu pamiętano, a mnie szczególnie wzruszyła skromna lecz godna uroczystość na skwerze Jana Pawła II w Policach zorganizowana przez członków Polickiego Towarzystwa Strzeleckiego i Miłośników Broni Dawnej „Grajcar”, którzy wystąpili w mundurach słynnych „Czwartaków” - 4 Pułku Piechoty Księstwa Warszawskiego i uczcili 200 rocznicę śmierci Napoleona oddając trzy salwy armatnie!



Cieszy mnie też powrót w 2011 r. brązowego popiersia Cesarza podtrzymywanego przez cztery podrywające się do lotu orły na warszawski plac przed wojną noszącym jego imię. W 1932 r. w tym samym miejscu w obecności Marszałka

Piłsudskiego odsłonięto monument Napoleona dłuta Jana Antoniego Biernackiego, który jednak uległ zniszczeniu w trakcie działań wojennych. Nowy, 4,5-metrowy pomnik przygotowali rzeźbiarze Paweł Pietrusiński i Marek Żebrowski, a na postumencie widnieje napis „*Wielkiemu Wodzowi*” - słów tych użył Marszałek pod adresem Napoleona.



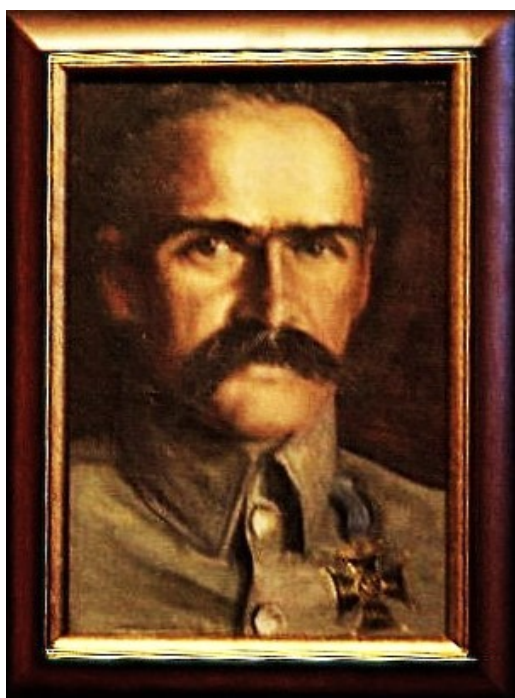
Nie raz go zresztą wspominał w odniesieniu do spraw polskich:

„Wyznaję całkowicie zasadę, którą wypowiedział największy człowiek na świecie – Napoleon: Sztuką łamania przeszkód jest sztuka nieuwważania tego lub owego za przeszkodę”.

Miał też coś do powiedzenia o wspomnianych przeze mnie karłach – pomniejszych olbrzymów:

„Ponieważ na własną, nie na obcą, liczę moc, nazywają mnie romantykiem i budowniczym zamków na lodzie te rodzime karły i podłce, którzy uważają, że jedynie realną pracą jest budowanie zamków na gnoju!”

Teraz spoglądają na mnie wszyscy trzej. No bo jakże bez trzeciego Wielkiego Wodza, jedyne Marszałka Cesarstwa, który nie był Francuzem, czyli dowódcy wojsk Księstwa Warszawskiego Księcia Józefa Poniatowskiego! Marszałek Piłsudski patrzy na mnie ze świetnego portretu pędzla mojej żony, a Cesarz i jego Marszałek z wielkiego medalu z brązu przedstawiającego ich obu.



Rocznice rocznicami, a ja co rano salutuję im wszystkim!

11.02.2025, Topolnica